Przeżyć Życie

„Powinniśmy wykorzystywać śmierć,
by lepiej wchodzić w życie.”

M. Bernard

Pewnego dnia ...

... poznałem, że umrę. To był bardzo szczególny dzień. Tego dnia zacząłem żyć.

Z jednej strony moja głowa zawsze to wiedziała, zaś z drugiej moje serce nigdy tego nie przyjęło. Przez wiele lat myśl o śmierci była tak odległa, jak skryte w kosmosie nieznane galaktyki. To było zawsze tak obce, że aż nierealne. Lecz tego dnia przeżyłem lęk pełen zadumy. A gdy łzy obmyły moją duszę, odkryłem radość i miłość tak czystą, jak promień słońca, który dotykał mojej twarzy. Oddech miał cudowny smak.

Poczułem się tak bezpiecznie, jak nigdy dotąd. Wiatr wziął mnie w swe anielskie objęcia. Przestałem gonić, przestałem uciekać. Przeżywałem rozkosz błogiej chwili. Czułem jak moja dusza budzi się we mnie. I tak, jak krople deszczu spadające bez wysiłku na ziemię, opadały ze mnie lęki, złości, iluzje. To była chwila swoistego rodzaju oczyszczenia, odrodzenia. Chwila, w której dotyka się wieczności. Chwila, w której jest się tylko tu i tylko teraz. Chwila, w której czas przemienia się w przestrzeń. Po raz pierwszy naprawdę spotkałem swoją teraźniejszość. Doznawałem głębi.

Z natłoku myśli wyłania się jedynie to, co istotne. Aż dziwne, że jest tego tak mało wśród niezliczonych ludzkich spraw. Z jednej strony wszystko staje się takie proste, jasne i lekkie, zaś z drugiej trudno cokolwiek zrozumieć. Trudno to ubrać w słowa. Jednoczesne poczucie, że coś się kończy i coś się zaczyna. Jednoczesne doznanie przerażenia i spokoju, uwięzienia i wolności, rozpaczy i miłości, ludzkiego lęku i nieludzkiej nadziei. Jednoczesne doznanie nieuchronności i czystej wolności. To jak bycie wszystkim i niczym w jednej chwili. Działo się niemożliwe. Myśli, które tak samo szybko przychodzą, co odchodzą, tym razem stały w miejscu jak zaczarowane.

Przytuliłem się do drzewa. Doznawałem swej małości obejmując Wszechświat. Poczułem, jak nurt życia przepływa przeze mnie. Przeżyłem mistyczne spotkanie z własnym życiem, dzięki świadomości, że patrzę w oczy śmierci.

Czas nabierał tempa. Długie lata mojego minionego życia obejrzałem w ułamku sekundy, w mgnieniu oka i nadal wszystko działo się tak leniwie, jak nigdy dotąd. To była chwila, w której znikała jedna iluzja za drugą. Doznawałem jak poczucie wpływu i kontroli przemienia się w bezgraniczną ufność. Cokolwiek zaczynało się bólem, kończyło się rozkoszą. Uczyłem się, czym jest wolność i miłość prawdziwa. Doznawałem całkowitej jedności z samym sobą.

Nie wiem, czy przestałem się bać śmierci, ale na pewno zacząłem ją szanować. Nie zacząłem też bać się życia, ale podobnie jak śmierć – zacząłem je szanować. Zrozumiałem, że każda chwila jest cenna i tylko ode mnie zależy, czy ją przeżyję, czy mi umknie bezpowrotnie.

Zrozumiałem, co znaczy traktować wszystko, jakby było po raz pierwszy i ostatni. W rzeczywistości tak jest. Wszystko dzieje się po raz pierwszy i po raz ostatni. Nic się nigdy nie powtórzy. Nie ma dwóch takich samych oddechów, dwóch takich samych uśmiechów, dwóch takich samych spojrzeń, dwóch takich samych odczuć, dwóch takich samych myśli, dwóch takich samych rozmów, dwóch takich samych dni, dwóch takich samych nocy. Nie ma nawet dwóch takich samych łez. Tajemnica ciekawości życia.

I zaczęły brzmieć w mojej głowie pytania. Nie były ani mądre, ani głupie. Często tak się zdarza w życiu, że zadajemy pytania, by pokazać swą mądrość. Te były inne. Na żadne z nich nie można udzielić dobrej lub złej odpowiedzi. Właściwie, w ogóle nie można znaleźć odpowiedzi. A mimo tego, okazały się bezcenne. Być może właśnie dlatego. Uświadomiłem sobie, że kiedy udzielam odpowiedzi, przestaję się dalej zastanawiać. To kończy moje zadumy. Skoro znam odpowiedź to, po co się zastanawiać? Myśl popłynęła….

Jak wielu ludzi musisz zadowolić, by zadowolić samego siebie?

Jak wielu ludzi musi okazać ci swą miłość, byś uznał, że sam możesz obdarzyć się miłością?

Jak wiele łez musisz wypłakać, by zacząć się uśmiechać?

Jak długo musisz się złościć, by zacząć się cieszyć?

Ile lat musi upłynąć, byś zaczął doznawać radości teraźniejszej chwili?

Ile musisz mieć, by zrozumieć, że to nie stanowi żadnej wartości?

Ile musisz stracić, by odkryć w sobie skarb?

Ile razy musisz kogoś skrzywdzić, by się przekonać, czy jesteś dla niego ważny?

Jak długo potrzebujesz czuć potrzebę miłości, by zacząć miłować?

Ile razy musisz skrzywdzić siebie, by zrozumieć, że bardzo kochasz?

Jak bardzo musisz stracić nadzieję, by odnaleźć nadzieję?

Jak wiele dni musi minąć bezpowrotnie, byś zaczął doceniać każdy dzień?

Jak bardzo musisz zbliżyć się do śmierci, by zacząć cenić życie?

Jak wielu ludzi musi zapłakać twymi łzami, byś uznał, że już dość?

Wiele pytań….

Sięgnąłem po papierosa i … pytanie….

Ile jeszcze papierosów musisz wypalić, by zrozumieć, że się nigdy nie napalisz i, że nie ukryjesz złości?

Jadąc samochodem zobaczyłem pijanego człowieka tuż przy jezdni, zwolniłem…, i znów pytanie…, jakby do niego….

Jak wiele alkoholu musisz jeszcze wypić, by zrozumieć, że nie ma ucieczki przed sobą i lękiem?

Te milczące pytania tworzyły moją wewnętrzną podróż. Przywoływały wciąż nowe myśli. Pojawiały się zadumy zamiast odpowiedzi. Jedno zamyślenie płynnie przechodziło w następne. A każde rozjaśniało mój świat. Przybywało przestrzeni.

Jak długo potrzebujesz niszczyć swoją duszę, by uwierzyć, że jest niezniszczalna i wieczna?

Jak wielką iluzję musisz sobie stworzyć, by zapragnąć prawdy?

Jak długo potrzebujesz udawać kogoś innego, zanim przyjmiesz siebie, jakim jesteś?

Wiele pytań….

Przemijamy. To naturalne. Prawo przemiany. W każdej chwili odchodzimy i stwarzamy się na nowo. To szukanie drogi do Domu. Nieustanny proces. Niekończąca się teraźniejszość. Wieczna chwila.

To, że przemijamy nie jest naszym problemem. To jedna z pułapek naszego Ja, które rządzi nami przez lęk. Nasze niezadowolenie wynika z faktu, że brak nam poczucia spełnienia. Dotykamy lęku i natychmiast przed nim chcemy uciec. Jednak nie wiemy, że w rzeczywistości uciekamy przed ukrytą pod nim Miłością. Uciekamy, zamiast zostać.

Jak długo będziesz uciekać, zanim spojrzysz w oczy temu, czego się boisz?

Jak daleko potrzebujesz uciec, by spostrzec, że spotkasz tam zawsze siebie?

To takie oczywiste. Gdziekolwiek pójdziesz, pojedziesz, popłyniesz lub polecisz, gdy tam dotrzesz, twoje lęki będą już na ciebie czekać. Być może istnieje tak głęboka nicość, w której moglibyśmy być i nie być jednocześnie, ale czy rzeczywiście to jest naszym pragnieniem? Stracilibyśmy wówczas szansę na szczęśliwość, a nie tylko uniknęlibyśmy naszego lęku. Po cóż mielibyśmy zmierzać ku pustce?

Dlatego zmierzamy w poszukiwaniu tego błogiego stanu, by się w nim na zawsze zanurzyć. Szukamy siebie w szczęściu, a gdy zbliżamy się do niego pojawia się lęk, tak samo wielki, co niezrozumiały. I mimo, iż w każdym filmie o rozwoju na jakiejkolwiek ścieżce główna próba jest próbą przezwyciężenia swojego najgłębszego lęku, nie przyjmujemy, że tak też jest z nami. Jeśli chcemy wejść do wnętrza Miłości, jeżeli chcemy stanąć na dziedzińcu szczęścia, musimy przejść przez bramę lęku.

W każdej bajce największy lęk ukryty jest w sercu jej bohatera. Lęk jest stałym towarzyszem i przychodzi zawsze taki moment – finał zmagań, – gdy niechybnie dojdzie do spotkania z nim. Nasze życie w niczym nie różni się od takiej bajki. Tylko nasz finał zbyt często wygląda inaczej niż w bajkach. Pozwalamy lękowi wygrać i w ten sposób rezygnujemy z doznania pełni szczęścia. I bajka zaczyna się od nowa. Pokonujemy tysiące przeszkód, szukamy nowej, innej drogi. Zapominamy, że i tak na jej końcu spotkamy się z tym samym wciąż, naszym głębokim lękiem, bo to jest nasza brama, przez którą musimy przejść. Boimy się naszego lęku.

Niestety wielu ludzi traktuje bajki, jak bajki. To oczywiste, że nie są prawdą, lecz nie w tym mieści się ich wartość. Są przenośnią życia, metaforą ludzkiego świata i sposobem na pokazanie tego, co ważne, a ukryte. Nie traktujemy bajek poważnie, a to wielki błąd. Mówimy, że „to się zdarza tylko w bajkach". Oddzielamy się od świata czystych możliwości i traktujemy nasze życie jak koszmar. I wcześniej, czy później stanie się koszmarem. Sami tworzymy swoje koszmary dzień za dniem. Nie możemy, nie chcemy uwierzyć, że nasze życie może być Bajką. Naszym narzekaniem dodatkowo podnosimy do potęgi wszystko, co nas przygniata do ziemi. Szukamy gdzieś poza sobą winnych, zamiast szukać w sobie sprawczości. Nasze największe pragnienie zamiast dotyczyć osiągnięcia szczęścia, dotyczy znalezienia tych, którzy nam je odbierają. Co za fikcja?

Oceniamy, osądzamy, nasze oczy zwrócone są na innych, zamiast do środka. Odnosi się wrażenie, że częściej żyjemy cudzym, niż swoim życiem. Nic dziwnego, że czujemy się wyobcowani, skoro chcemy udowodnić, że da się żyć w obcym świecie. Doświadczamy, że nie jest to możliwe, a mimo to brniemy na „nie swoje" mielizny. Dlaczego tak nam się podoba cudze? Skąd nasza wiara, że życie innych jest zawsze lepsze, prostsze i szczęśliwsze? A kto przeżyje za nas nasze życie? Jeśli nie jesteś sobą to, kim i kto jest wtedy tobą?

Jak długo potrzebujesz zaprzeczać, że twoje życie jest twoje? To jedyne, które masz do dyspozycji. Możesz je przyjąć lub odrzucić, ale i tak tylko to życie możesz przeżyć. Jedyne pytanie brzmi: „Jak?" To obszar naszego rzeczywistego wpływu. To jedyne prawdziwe życie, jakie ci się przydarzy. Dlaczego tak wielu ludzi nie dostrzega posiadania najcenniejszego z darów? Dlaczego nie chce go przyjąć? Dlaczego się nim nie cieszy? Dlaczego nie traktuje go z należytym szacunkiem i miesza z błotem? Zadziwiające. Smutne.

Tajemnica „wolnej woli".

Zbyt często mówimy słowa „wolna wola". Ciekawe, że dzieje się to zazwyczaj wtedy, gdy w niezrozumiałym odruchu, pchani jakąś zbłąkaną myślą podążamy nie tam, gdzie rzeczywiście warto. Skoro nie ma dobrych powodów, by takie działanie uzasadnić, zostaje „wolna wola". Lecz jednocześnie mamy poczucie, że nie jest „wolna" i raczej przypomina determinujący przymus, a nie „wolę". „Wolna wola" może objawić się tam, gdzie przekraczamy swoje odruchowe działania, tam i tylko tam, gdzie króluje świadomość. W innym wypadku przypomina to sytuację, w której tłumaczymy pijanemu, czym jest „wolna wola" i mamy pretensje, że mimo tego, znów idzie pić. On nie jest w stanie jej doświadczyć. Jego lek jest większy. Prędzej zapije się na śmierć, niż weń spojrzy. Dlaczego w tym kontekście tak trudno pomyśleć, że ten człowiek ma dostęp do „wolnej woli"? To oczywiste. Ponieważ on nie doświadcza żadnej wolności.

Podobnie jest z innymi uzależnieniami i nieświadomymi wewnętrznymi wzorcami. Jeżeli ktoś jest uzależniony od złości, natychmiast wpada w gniew i działa jak nakręcona zabawka, to, kiedy ma dotknąć „wolnej woli"? Jeżeli ktoś w pierwszym odruchu wszystko i wszystkich ocenia, to, kiedy ma doświadczyć „wolnej woli"? Jeżeli ktoś natychmiast osądza, to, kiedy ma poczuć „wolną wolę"? Każdą ludzką słabość można tu włożyć i będzie pasować. Różni ludzie podlegają różnym uzależnieniom/wzorcom. Ważne jest jednak, że każdy można „unieszkodliwić", zmienić. Można wybudować nowe wzorce, takie, których chcemy.

„Wolna wola" potrzebuje pauzy, zadumy, dojrzałości, samowiedzy, świadomości i odpowiedzialności. Potrzebuje szerszego kontekstu. Gdzie w odruchowym działaniu można znaleźć „wolną wolę"? To sprzeczność. Odruch zastępuje „wolną wolę". Dlatego właśnie wielu ludzi przeżywa dziś kryzys braku własnego wpływu na swoje życie.

Nie korzystamy z dobrodziejstwa „wolnej woli" zamknięci w zewnętrznych powodach, naciskach, normach, nawykach, rytuałach lub wewnętrznych nadziejach i lękach. Nasza wewnętrzna niepewność jest większa niż kiedykolwiek wcześniej. Szukamy kluczowych odpowiedzi, lecz nie wiemy jak postawić sobie kluczowe pytania. Nie umiemy znieść już naszej duchowej pustki. Krzywdzimy siebie i innych, bo dotykami beznadziei. Niszczymy siebie i innych, bo nie możemy znieść własnego życia. Chcemy zbawić się własną męką. Oczekujemy „nieba" tylko za to, że przeżywamy „piekło". Ale to tak nie działa. Nie można oczekiwać nagrody za to, że samemu to piekło się stwarza – chyba, że nagrody piekielnej. Tu dotykamy sedna „wolnej woli". Na tym ona między innymi polega, że dokonujemy już za życia wyboru: „niebo czy piekło?".

Uświadomienie sobie tego nie jest przyjemne, ale może stać się początkiem oczyszczenia i odrodzenia. Lepiej późno, niż za późno. Poza tym, jak zwykle można być wdzięcznym lub wszystkiemu zaprzeczyć. Jeśli decyzję poprzedzi zamyślenie, zaduma i świadomość wagi wyboru można powiedzieć: „Wolna wola".

Każdy, kto doświadcza „wolnej woli" przyjmuje ze spokojem konsekwencje swoich wyborów. Można powiedzieć nawet, że ich oczekuje. Nie ma też powodów do tego, by kiedykolwiek narzekać i użalać się nad sobą, bo ma świadomość, co i dlaczego wybiera. Słowo „wybiera" jest tu kluczowe. Prawdziwie „wolna wola" nigdy nie przynosi smutku. Przynosi jedynie dobre skutki. Zaprasza do życia miłość, dumę, radość, spokój, spełnienie, szczęście i wiele innych cnót. Jeśli wynik jest inny, nie ma mowy o działaniu „wolnej woli". Jeżeli ktoś doznaje wewnętrznego nieszczęścia, to oznacza, że z własnej „wolnej woli" zrezygnował z „wolnej woli".

Im bliżej życia, tym bliżej śmierci – im bliżej śmierci, tym bliżej życia.

Właśnie uświadomiłem sobie, że myśl, która płynie rozpoczęła się od zadumy o śmierci. To znamienne, że zawsze, gdy zaczynamy myśleć o śmierci, natychmiast zagłębiamy się w życie. Im bliżej życia, tym bliżej śmierci – im bliżej śmierci, tym bliżej życia. I co to może oznaczać? Zapewne wiele rzeczy.

Najważniejsza, która ciśnie się do głowy to ta, że lęk przed śmiercią w rzeczywistości jest ukrytym, nieświadomym lękiem przed życiem. O śmierć modlą się przecież ci, którzy nie mogą sobie poradzić z tym, co przeżywają. Nie wiedzą jak stawić temu czoła, jak to zmienić, jak to przyjąć, jak zaakceptować, jak pokochać, więc pragną wyzwolenia. W tym wypadku wyzwolenia przez śmierć. Gdyby naprawdę bali się śmierci, nie prosiliby o nią. To dowodzi, że boimy się nie tego momentu, gdy umrzemy, ale procesu umierania, – czyli życia. Wiem, że to brzmi dziwnie. Jednak chyba nie bardziej, niż wiele innych dziwnych rzeczy.

Mistrzostwo na własnej ścieżce.

My ludzie lubimy wydeptane ścieżki. Czasem zupełnie nie zastanawiamy się, przez kogo i po co. A najpiękniejsze szlaki są jeszcze nie odkryte. Czyżbyśmy bali się je odkryć? A może czekamy aż jakiś śmiałek wydepcze naszą ścieżkę. Raczej mało możliwe. Nasza ścieżka jest tylko nasza. Idziemy za innymi, bo wierzymy, że ich droga sprawdzi się również dla nas. Rzeczywiście do jakiegoś momentu to się sprawdza, ale i tak przychodzi taki dzień, gdy trzeba odrobić swoją lekcję, zdać swój egzamin. Kończą się wskazówki, cudze mistrzostwo nie jest odpowiedzią. To chwila, gdy ma się dokonać nasze osobiste mistrzostwo, nieosiągalne dla kogoś innego.

Wtedy i nasza ścieżka może być dla kogoś początkiem jego drogi, ale na pewno nie będzie jej końcem. Każdy człowiek jest niepoznaną, tajemniczą głębią. To jeden z cudów Wszechświata. Niepowtarzalność ludzkich ścieżek. Można używać tych samych zasad, których używali inni, ale odkryć trzeba swoje tajemnice. Taka jest prawda. To tak jak z tym tekstem, który czytasz. Gdybyś wypisał wszystkie użyte w nim słowa i skorzystał z każdego z nich, napisałbyś zupełnie inny tekst. Byłby inny nie tylko w treści, ale i w głębi. Nasyciłbyś go sobą, swoimi uczuciami, myślami, emocjami. Twoje życie nadałoby mu sens. Zawarłbyś w nim to, czego ja nie mogę zawrzeć, bo należy jedynie do Ciebie. Twoje najgłębsze pytania i najgłębsze odpowiedzi mogłyby zaświecić w moim życiu nowe gwiazdy, dać początek nowym, niewydeptanym ścieżkom, ale i tak pozostałyby nadal Twoim bogactwem. Bogactwem, którym się dzielisz i które dzięki temu się mnoży. Możemy sobie dopomóc, ale nie możemy się wzajemnie wyręczyć.

W tym tkwi sedno stwierdzenia: „od Ciebie zależy Twoje życie". Kto mówiąc te słowa zapomina o swojej odpowiedzialności za swoje życie i ceduje ją na kogokolwiek, włącznie z samym Panem Bogiem tkwi w nieruchomości i zdaje się na ślepy los. Oczywiste jest, że nie musisz niczego robić. Nikt ci nie może czegokolwiek nakazać lub czegokolwiek zabronić. Sam dokonujesz wyboru. To dobrodziejstwo wolności.

Jeden mówi: „Panie Boże zrób coś z moim życiem, bo ja nie wiem, co mam zrobić."

Drugi modli się: „Panie Boże dodaj mi sił i mądrości, wspieraj mnie w działaniu i bądź przy mnie w każdej chwili, gdy zmierzam ku mojemu szczęściu. Dawaj mi znaki i pomóż je odczytać. Bądź łaskaw i miej cierpliwość dla mojej niedoskonałości i dla moich błędów. Nikt przede mną nie szedł tą drogą. Odkrywam ją. Przyświecaj moim staraniom i wspomóż moją wiarę. Chcę odkryć moją prawdę. Chcę uśmiechnąć się stając przed Twym obliczem. Bądź ze mną w każdej decyzji, którą podejmuję. Chcę dokonywać swoich wyborów, a Ciebie mieć „u boku". Bądź mi Towarzyszem. Napełnij moje serce Wiarą, Nadzieją i Miłością. Chcę być wolny i dobrze swoją wolność wykorzystać. Chcę u kresu mojej drogi poczuć dumę w Twoim i swoim sercu. Obdarz mnie swą łaską. I błagam Cię nie wyręczaj mnie w tym,

czego mam dokonać sam. Dawaj mi wędki, ale nie dawaj mi ryb. To, że będziesz przy mnie wystarczy, reszty chcę dokonać sam. Skoro tu jestem, to znaczy, że wierzysz we mnie.

Jeśli mogę Cię o coś prosić Boże, proszę o jedno tylko – zachowaj swoją wiarę we mnie."

Odkryć swój święty kierunek.

Często wpadamy w pułapkę wiedzy. Wymagamy od siebie dobrych odpowiedzi na pytania. Zapominamy, że nasza odpowiedź będzie po prostu inna, szersza, gdy doświadczymy czegoś nowego. Nie będzie ani lepsza, ani gorsza, będzie inna. Chcemy mieć własne zdanie i czasami, co gorsze, chcemy je na zawsze utrzymać. To sztuczne powstrzymywanie zmiany, własnego rozwoju. To zapraszanie „ślepoty" do swojego życia. Chcemy wierzyć, że znamy najlepszą odpowiedź i to powoduje, że przestajemy odpowiadać na nowo.

A sednem życia nie są dobre odpowiedzi, lecz dobre pytania. To samo pytanie może być początkiem ciągle nowej zadumy, nowego odkrywania siebie. To, że brzmi tak samo jak wcześniej, nie oznacza, że poruszy te same struny w nas, które poruszyło wcześniej. Życie jest ciągłym poszukiwaniem odpowiedzi na te same pytania, eksplorowaniem własnego tajemniczego wnętrza.

Problemy związane ze sposobem życia, podejmowaniem decyzji, motywacją i innymi częściami składowymi naszej postawy życiowej wskazują na brak poczucia sensu. Jeżeli ktoś nie wie, po co żyje, to też nie będzie wiedział jak ma żyć. Każdemu jego działaniu, każdej jego decyzji będą towarzyszyć wątpliwości, rozterki, ponieważ skoro nie wie, dokąd zmierza, to skąd ma wiedzieć, czy czyni dobry krok. Niepewność jest oznaką wewnętrznego zagubienia. Jeżeli nie wiemy, jaki jest sens naszej śmierci, nie znajdziemy też sensu naszego życia. Podobnie jest w drugą stronę. Dopóki nie odkryjemy sensu naszego życia, trudnym będzie spokojnie zmierzać i myśleć o własnej śmierci. Kluczowym jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, które zadajemy sobie bardzo często i wciąż na nowo. W każdej chwili życia ma ono głęboki, święty sens. „Po co żyję?"

Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie ostatecznie. Trudno odpowiedzieć jednym zdaniem. Za każdym razem, gdy stawiam sobie to pytanie, odkrywam nowy wymiar życia, nowy aspekt mnie i mojej drogi. To przypomina raczej nieprzerwane wgłębianie się, zanurzanie się w nieogarnioną tajemnicę, niż doświadczanie wiedzy. To bardziej medytacja pytania, niż chęć znalezienia ostatecznej odpowiedzi. Ten proces dzieje się często poza słowami, wymyka się racjonalnym podejściom. Ten proces dotyka duszy, a kiedy chcemy go komuś opisać, doświadczamy ogromnej niemożności, małości słów. Ten proces jest prywatnym, indywidualnym i tak naprawdę niemożliwym do wyrażenia mistycznym doznaniem. To podróż w inny wymiar. Każde drzewo zmierza ku słońcu. Omija wszelkie przeszkody i pnie się ku światłu i ciepłu. To takie naturalne dla drzewa. Zna swój „święty kierunek" i wszystko inne temu jest podporządkowane, temu służy.

Człowiek zanurzający się w pytanie, „po co żyję?" poszukuje właśnie tego swojego „świętego kierunku". Od momentu, gdy znajdzie, nie ma więcej problemów z tym jak żyć, jakie decyzje podejmować i w jaki sposób. Nie ma problemów z niepewnością, wątpliwościami, lękiem przed oceną, krytyką, porażką lub odrzuceniem. Wie, czego chce i czego nie chce na swojej drodze. Robi jedynie to, co jest w zgodzie z jego „świętym kierunkiem". Zaczyna żyć naprawdę swoim życiem. Dba o zachowanie swojego kierunku i wciąż jest w kontakcie z sercem i duszą.

Ta medytacja nie ma końca, bowiem dotyka wiecznych procesów poszukiwania sensu życia, a więc też sensu śmierci.

Problem często polega na tym, że chcemy za wszelką cenę wyjaśnić innym ludziom, po co żyję, zamiast tym żyć. Chcemy obwieścić to całemu światu, zamiast być z tym w stałej łączności. Chcemy coś opisać dla innych, zamiast głęboko odczuwać to w sobie.

Moja odpowiedź na pytanie „po co żyję?" jest potrzebna mnie, a nie innym ludziom. Dla mnie ma to życiowe znaczenie, a nie dla nich. Tak, jak ich odpowiedź ma życiowe znaczenie dla nich, a nie dla mnie. Myślę, że warto o tym pamiętać. Taka świadomość ułatwia każdemu człowiekowi życie w zgodzie ze sobą. Znika potrzeba przekonywania kogokolwiek do swoich racji i znika poczucie, że ktoś chce przekonać nas do swoich. Znajomość i pewność własnego kierunku jest wstępem do spokojnej akceptacji kierunków innych ludzi. Każdy z nich, choć nie jest moim, może być „świętym kierunkiem".

Ku własnej prawdzie.

W każdym z nas jest większa lub mniejsza potrzeba uzewnętrznienia się. To dość naturalne. Życie „w ukryciu" związane jest ze stanem napięcia. Chcemy się zamanifestować. Może to przybrać różne formy i dla różnych ludzi ma to oczywiście różne znaczenie. W tej chwili chodzi mi jedynie o naturalną ludzką tendencję.

Jest to ważne, ponieważ zdarza się, że mylimy potrzebę manifestacji siebie z potrzebą pokazania się innym ludziom (a nawet samemu sobie) lepszymi niż w rzeczywistości jesteśmy. Staramy się stworzyć jakiś idealny obraz siebie, a w ten sposób doprowadzamy siebie do napięcia. Przestajemy być naturalni. Chcemy spełnić jakieś oczekiwania, jakieś standardy, jakieś normy i oddzielamy się od prawdy. Chcemy wmówić sobie i innym, że jesteśmy jacyś, chociaż czujemy, że nie zupełnie tacy jesteśmy. W ten sposób zamykamy sobie ścieżki do nowych odkryć i przemiany. Unieruchamiamy się, tylko po to, by na zewnątrz coś pokazać, kogoś zadowolić, a właściwie to tylko po to, by mieć poczucie, że inni nas podziwiają, lubią, zachwycają się nami, myślą o nas dobrze lub z innych ważnych dla nas powodów. Skupiamy się na tym, by za wszelką cenę kogoś zagrać lub zachować twarz. No właśnie „twarz", czy maskę na twarzy? Wiemy, że nasza twarz (w rzeczywistości) wygląda inaczej. Jednak zbyt się boimy ją pokazać. Boimy się oceny, krytyki, niezrozumienia. Boimy się odrzucenia. Tworzymy iluzję dla innych. Czasem jesteśmy tak skuteczni, że sami zaczynamy wierzyć, że nasza iluzja jest prawdą.

Krzywdzimy w ten sposób sobie i innych. Udając promujemy udawanie. Utrzymujemy się w świecie fikcji. Wydaje się nam, że kogoś znamy, a nagle okazuje się, że znamy tylko wytworzoną iluzję ideału tej osoby. Znamy maski. Szczególnie trudne jest dla nas, gdy stajemy przed lustrem i również widzimy maskę. Ciekawe, czy to bardziej boli, cieszy, czy może jeszcze bardziej znieczula? A może ktoś jest szczęśliwy, że cały świat tak sprytnie oszukuje? Są ludzie, którzy wierzą, że można w pracy być takim, a w domu innym. Poświęcają swoje życie na udowodnienie, że to ma sens. Lecz pojawia się pytanie: czy rzeczywiście warto?

Czując się odciętymi od prawdy o sobie i o innych, czujemy się odciętymi od życia w ogóle. Odgrywamy farsę i czekamy na tragiczne oklaski. Doznajemy substytutów, imitacji i wciąż odczuwamy rosnące pragnienie bycia prawdziwym. Niestety z każdym dniem jest nam trudniej wyrwać się z tej „nie naszej sztuki". Powodów, by tego nie zrobić przybywa, zależności przybierają wciąż nowe formy. Ale też nasza dusza upomina się coraz bardziej o zostawienie balastu i odnalezienie swojego „świętego kierunku". Wytwarza się twórcze napięcie i pojawiają się coraz prostsze, a ważkie pytania. Procesu przemiany nie da się powstrzymać we Wszechświecie, a my jesteśmy jego częścią. To tylko kwestia czasu, kiedy się to zaakceptuje.

Dodatkowym problemem jest lękowe, odruchowe krytykowanie innych, gdy dokonują zmian. Dzieje się tak zwłaszcza, gdy komuś zazdrościmy, że zdjął swoje maski, wyrwał się z jakichś krępujących więzów. Odczuwamy w kontakcie z tym człowiekiem jak jego moc wzrasta. Wtedy jeszcze bardziej uświadamiamy sobie własną słabość, a to nie jest przyjemne. Dzieje się tak, ponieważ gdzieś w głębi nas jest ogromne napięcie wywołane udawaniem „siebie" i zdławiona potrzeba uwolnienia się od fikcji. Nasza nieruchomość zaczyna boleć i żeby się znieczulić trzeba skrytykować cudze wybory, decyzje, sposób

myślenia, sposób życia. To narkotyk niemocy, który sami sobie aplikujemy po to, by trwać w tym, co jest nam znane, a więc bezpieczne.

Wpadamy w niewolę etykietek. Przyczepiamy je sobie wzajemnie i chcemy wierzyć, że zawsze już takie będą. Zazwyczaj wobec innych jesteśmy zdecydowanie bardziej krytyczni, wymagający, a co za tym idzie, inni mają gorsze etykietki niż my sami (przynajmniej w naszych oczach). Lubimy czuć się lepsi od innych. Czy jest to rzeczywiście sposób na bycie lepszym? Mam wątpliwości. Problem w tym, że w ogóle potrzebujemy się do kogoś porównywać. Jesteśmy w stanie udowadniać sobie przez lata, że jesteśmy mądrzy i wciąż mądrzejemy, a ów ktoś był głupi i stale głupieje. W najlepszym wypadku nic się nie zmienił. Niczego nie zmienia, niczego nie odkrywa, niczego nie rozumie. Bardzo wygodny sposób na nie robienie czegokolwiek ze sobą samym.

Życie mija nam na krytykowaniu innych, a nie na szukaniu prawdy o sobie. To działa odwrotnie proporcjonalnie. Im więcej zajmujemy się innymi, tym mniej sobą. Pytanie: po co? Nam jest to zbędne, a im – innym jeszcze bardziej.

Lęk przed lękiem.

Odgrywamy bohaterów. Lecz cóż to za bohaterstwo?

Boimy się, ale nie umiemy się przyznać do własnego lęku. Boimy się nawet nazwać ten lęk przed samym sobą. Odgrywamy wesołków, a nasze serca toną w cichych łzach. Widzimy, doznajemy, jak dzień za dniem odchodzi bezpowrotnie. Przemijamy tak bardzo szybko. Niektórzy z nas dostrzegają dopiero minione lata, nie dni. Zaskoczeniom nie ma końca. Tak bardzo szybko żyjemy, że nie czujemy, że żyjemy. Gonimy i boimy się coraz bardziej zatrzymać się choćby na chwilę.

Boimy się pustki. Lecz my sami tę pustkę tworzymy. Skoro ją tworzymy, to możemy też przestać i wypełnić swoje życie swoją prawdą.

Trzeba wejrzeć w siebie, choć jest to jedna z trudniejszych rzeczy w życiu. Może, dlatego tak cenna i wartościowa.

„Człowiek odważny to nie ten, kto nie zna strachu,
ale ten, kto godzi się wyciszyć w swym wnętrzu.”

H. D'Hellencourt

Początek i koniec.

Nasze życie jest doświadczaniem wciąż nowej śmierci.

Nasza śmierć jest doświadczeniem wciąż nowego, niekończącego się cudu odrodzenia.

To jeden z tych cudów, które przeżywamy nieustannie.

To początek i koniec.

Śmierć dzieje się dzięki życiu, a życie dzięki temu, że dzieje się śmierć.

Mówimy, że śmierć jest końcem. Jednak, czy rzeczywiście? A może jest zupełnie odwrotnie? Może śmierć jest początkiem, a życie końcem?! Bowiem, to właśnie podczas życia mamy jedyną szansę odkrycia i pożegnania naszych wzorców ofiary, które trzymają nas w więzieniu lęku i bólu, które oddzielają nas od naszej prawdy i szczęśliwości. To jedyny czas, gdy możemy prawdziwie i z własnej wolnej woli dokonać zmiany owych wzorców i pozwolić im umrzeć. Śmierć pojawia się i jest to początek nowego istnienia.

Doświadczajmy, że lęk nie ma dostępu do świata Miłości.

Piotr Pilipczuk